ZŁOTA SZTABKA
(The Golden Ingot)

Fitzjames O'Brien

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

Właśnie udałem się na spoczynek, z oczami niemal oślepłymi od studiowania nowego dzieła psychologicznego M. Brown-Sequarda, gdy rozległ się nagły dźwięk nocnego dzwonka.

Była zima i muszę przyznać, że wstając warknąłem z niezadowolenia, ale owinięty w szlafrok podążałem w kierunku frontowych drzwi. Dwa razy w tym tygodniu byłem wyrywany z łóżka dobrze po północy w bardzo błahych sprawach. Za pierwszym razem, aby zająć się synem i dziedzicem pewnej zamożnej rodziny, który zranił się w palec scyzorykiem, z którym najwyraźniej uparł się położyć do łóżka; a za drugim razem, aby przywrócić przytomność młodemu dżentelmenowi, który został znaleziony przez swoich przerażonych rodziców, gdy leżał bez zmysłów na klatce schodowej. Diachylon w pierwszym przypadku i amoniak w drugim, były wszystkim, czego potrzebowali moi pacjenci; miałem więc niejasne przeczucie, że tym razem wezwanie będzie miało podobnie błahą przyczynę. Jednak jako początkujący lekarz nie mogłem zaniedbać obowiązku. Lekarz, który zgromadził duże grono stałych pacjentów może sobie pozwolić na lekceważenie innych. Ja byłem dopiero na pierwszym szczeblu drabiny, więc pokornie zszedłem na dół i otworzyłem drzwi.

Po kostki w śniegu, który zalegał na podjeździe, stała młoda kobieta. Widziałem jedynie niewyraźny zarys postaci, bo noc była pochmurna; ale mogłem niemal usłyszeć jak jej zęby stukają jak kastaniety, silny wiatr przyciskał do jej ciała płaszcz, który miała na sobie. Można było łatwo rozpoznać, że była raczej skromnie ubrana.

- Proszę wejść, proszę wejść, - powiedziałem pośpiesznie, bo wiatr usilnie starał się skorzystać z okazji aby wedrzeć do mojego przedpokoju i torował już sobie drogę przez na wpół otwarte drzwi. - Proszę wejść, może mi przecież pani wszystko powiedzieć wewnątrz.

Wśliznęła się jak duch, a ja zamknąłem drzwi. Gdy zapalałem lampę w moim gabinecie, wciąż słyszałem szczęk jej zębów dochodzący z ciemnego przedpokoju, spojrzałem na nieruchomy model ludzkiego szkieletu stojący w kącie gabinetu. Gdy tylko zapaliłem światło, poprosiłem by weszła do gabinetu i starając się jak najbardziej zachować profesjonalny spokój, zapytałem, co ją do mnie sprowadza.

- Mój ojciec uległ poważnemu wypadkowi, - powiedziała wstrząśnięta, - potrzebuje pomocy lekarza. Proszę natychmiast się do niego udać.

Świeżość i melodia jej głosu zaskoczyły mnie. Taki głos najczęściej, jeśli nie wyłącznie, należy do kobiety z wyższej sfery. Przyjrzałem się jej uważnie, ale ponieważ była otulona po same uszy w trudny do opisania rodzaj szala, nie byłem w stanie dostrzec nic więcej poza fragmentami bladej, szczupłej twarzy i dużymi oczami. Jej strój był w opłakanym stanie. Stary płaszcz, nieokreślonego koloru, przylegał zbyt mocno do jej ciała. Fałdy, które powinny być pofalowane, trzymały się niemal zupełnie prosto, a dolna krawędź spódnicy wystająca spod płaszcza poplamiona była błotem zmieszanym ze śniegiem. Jej buty były przemoczone. Ręce skrywała pod końcami szala, którym owinęła głowę, a którego końce zwieszały się nad zapadniętą klatką piersiową. Kobieta przywołała mi wspomnienie "Zawoalowanego żebraka" dłuta Monti'ego.

- Jakiego rodzaju wypadkowi? - Zapytałem łagodnym tonem, dając do zrozumienia, że potrzebuję więcej szczegółów.

- Miał miejsce wybuch, panie doktorze, uległ poparzeniom.

- Wybuch? Czy pracuje w fabryce?

- Nie, panie doktorze, jest chemikiem, pracuje w domu.

- Ach, chemikiem? W pewnym sensie, jest moim kolegą po fachu. Niech pani chwileczkę poczeka, wezmę tylko płaszcz i moją torbę z przyrządami. Czy mieszkacie daleko stąd?

- Na Siódmej Alei, nie dalej niż dwie kamienice od końca tej ulicy.

- To całkiem niedaleko. Będziemy u niego za kilka minut. Czy ktoś w tej chwili przy nim jest?

- Nie, proszę pana. Tylko ja mogę wchodzić do jego laboratorium. Sam prawie nigdy stamtąd nie wychodzi. Nawet teraz, ranny, domaga się aby sprowadzić lekarza, ale nie chce opuścić laboratorium.

- A to dopiero! Czyżby był zajęty aż takimi ważnymi eksperymentami? Ciekawy przypadek.

Właśnie mijaliśmy uliczną latarnię, gdy kobieta nagle obróciła się i spojrzała na mnie wzrokiem, w którym było takie dzikie przerażenie, że na chwilę zerknąłem za siebie, mając wrażenie, że jakieś straszne niebezpieczeństwo, niewidoczne dla mnie, zagraża nam obojgu.

- Proszę – proszę mnie o nic nie pytać, - powiedziała bez tchu. - Niech pan z nim sam porozmawia. Ale pośpieszmy się, pośpieszmy! Dobry Boże! Do tej pory mógł wyzionąć ducha!

Nie odpowiedziałem, ale pozwoliłem jej by ujęła mnie za rękę, co zrobiła z nerwowym, desperackim uściskiem. Cały czas starałem się dotrzymać tempa jej szybkim krokom, biegła prawie zmuszając mnie do pośpiechu. Nie zamieniliśmy więcej ani słowa dopóki nie stanęliśmy przed odrapaną, zaniedbaną kamienicą czynszową na Siódmej Alei.

Z drżeniem pchnęła drzwi, które ustąpiły i, wciąż trzymając mnie za rękę, dosłownie wciągnęła mnie na górę czegoś, co przypominało tylne skrzydło budynku, gdzieś na wysokości czwartego piętra. Po chwili znalazłem się w średniej wielkości pokoju oświetlonym tylko jedną lampą. W rogu tego pokoju, wyciągnięty nieruchomo na nędznym łóżku z siennikiem, leżał zraniony mężczyzna, który miał być moim pacjentem.

- Jest tam, - powiedziała dziewczyna, - niech pan do niego idzie. Boję się, że już jest martwy.

Przecisnąłem się najprędzej jak mogłem pomiędzy niezliczonymi instrumentami laboratoryjnymi, na ogół w bardzo wyeksploatowanym stanie, którymi pokój był zawalony. Francuski kociołek do podgrzewania wsparty na żelaznym trójnogu był wywrócony i leżał na podłodze, podczas gdy węgła, wciąż rozgrzane, leżały na podłodze grożąc pożarem. Tygle, alembiki i retorty były chaotycznie porzucone w różnych miejscach, a na małym stole zobaczyłem rząd niewielkich butelek z różnokolorową zawartością. Niektóre substancje udało mi się nawet rozpoznać: był tam antymon, rtęć, grafit, arsen, boraks i wiele innych, których nie byłem w stanie zidentyfikować. Było to rzeczywiście laboratorium, ale bardzo ubogiego chemika. Wszystkie urządzenia sprawiały wrażenie, jakby były z drugiej ręki. Nie było tu połysku dobrze hartowanego szkła i wysoko polerowanych metali, jakie widuje się w laboratoriach bardziej nowoczesnych, zamożnych badaczy. Biedna prowizorka widoczna była wszędzie. Tygle były potłuczone, zwykłe słoiki używane zamiast specjalistycznych naczyń. Kolorowe preparaty do testowania nie znajdowały się w przezroczystych ampułkach,

jak zazwyczaj, ale przechowywane były w tanich butelkach z ciemnego szkła. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż widzieć naukę w tak nędznym stanie. Skromny naukowiec albo artysta, postrzępiona książka, sponiewierane skrzypce, mogą przemawiać do naszej sympatii, ale też wywołują uczucie politowania.

Podszedłem do zdezelowanego łóżka z siennikiem, na którym leżał chemik-ofiara wybuchu. Oddychał ciężko, a jego głowa obrócona była w kierunku ściany. Uniosłem delikatnie jego rękę by zwrócić na siebie jego uwagę, bo sprawiał wrażenie jakby mnie nie dostrzegał.

- Jak się pan czuje? - Zapytałem. - Proszę pokazać mi ranę.

W ułamku sekundy, jakby zaskoczony moim głosem, podskoczył na łóżku usiłując uciec w kierunku ściany, jak jakieś dzikie osaczone zwierzę.

- Kim jesteś? Nigdy wcześniej cię nie widziałem! Kto cię tu przyprowadził? Jak śmiesz wchodzić do moich prywatnych pokoi i szpiegować mnie?

A gdy wykrzykiwał to, szybko, z nerwowym przerażeniem, ujrzałem szarą, zniekształconą twarz, okrytą długimi siwymi włosami, patrzącą na mnie z mieszaniną wściekłości i lęku.

- Nie jestem szpiegiem, - odparłem łagodnie. - Dowiedziałem się, że miał pan wypadek, więc przyszedłem panu pomóc. Nazywam się doktor Luxor, a tu jest moja wizytówka.

Stary człowiek wziął kartę i przejrzał się jej uważnie. - Jest pan lekarzem? - Zapytał niedowierzająco.

- I aptekarzem.

- Jest pan więc związany przysięgą nie zdradzać tajemnic swoich pacjentów.

- Oczywiście, lekarz zachowuje dyskrecję.

- Obawiam się, że jestem ciężko ranny, - kontynuował słabym głosem, kładąc się z powrotem na łóżko.

Skorzystałem z okazji by pośpiesznie zbadać jego ciało. Okazało się, że ramiona, część klatki piersiowej i fragmenty twarzy nosiły ślady nieprzyjemnego poparzenia, ale uznałem, że rany, choć nie stanowiły zagrożenia dla życia, musiały być bolesne i będą potrzebować czasu, żeby się zagoić.

- Nie powie pan nikomu o tym, co pan tutaj zobaczył? - Zapytał stary człowiek, zwracając osłabiony wzrok na moją twarz, podczas gdy ja aplikowałem środek uśmierzający na zranione miejsca. - Niech mi pan obieca, bo chciałbym coś panu wyznać.

Skinąłem głową zapewniając go, że może mi powierzyć swoje sekrety.

- A więc zaufam panu. Proszę dokończyć opatrunek, – zapłacę panu.

Ledwo powstrzymałem się od uśmiechu. Gdyby Lorenzo de' Medici, świadom tych wszystkich dukatów, które trzymał w swoich kufrach, powiedziałby coś takiego lekarzowi, nie przyjąłby prawdopodobnie bardziej wyniosłej miny niż ten ubogi mieszkaniec czwartego piętra kamienicy czynszowej na Siódmej Alei.

- Musi pan zachować spokój, - powiedziałem. - Przygotuję teraz lekarstwo, pańska córka mi pomoże. Musi je pan natychmiast zażyć i pozostać w spokoju. Spotkamy się rano. Wydobrzeje pan w ciągu tygodnia i będzie pan mógł wrócić do swojej pracy.

- Dziękuję, panie doktorze. - Dobiegł mnie szept z rogu pokoju w pobliżu drzwi wejściowych. Ciemna sylwetka dziewczyny, stojącej z zaciśniętymi z lęku dłońmi w mroku tego przyciemnionego pokoju, to było wszystko, co byłem w stanie dojrzeć.

- Ach, moja córka! - Wykrzyknął nagle stary człowiek, ponownie zrywając się z łóżka ze zdwojoną energią. - Więc widziałeś ją? Kiedy? Gdzie? Och, po tysiąckroć...

- Ojcze! - Ojcze! Tylko nie to. - Nie przeklinaj mnie! - Biedna dziewczyna wbiegła do pokoju i szlochając rzuciła na kolana przy łóżku ojca.

- Ta niewdzięczna dziewczyna! Jest pan tam, sir? - Powiedział zwracając się do mnie, - zrobiła ze mnie najbardziej nieszczęśliwego człowieka na świecie. Mit Syzyfa wtaczającego ciągle staczający się głaz – Prometeusz zżerany przez sępy aż do końca czasu. Żywa legenda. Oto kamień, który nieustannie miażdży mój grzbiet! Oto nieśmiertelny sęp, który żywi się moją wątrobą! Tam! Tam! Tam! - I ze strasznym gestem przekleństwa i nienawiści, wskazał swą poranioną i bezkształtną od bandaży dłonią na kulącą się, szlochającą i oniemiałą dziewczynę klęczącą przy jego łóżku.

Byłem zbyt zaszokowany aby próbować go uspokoić. Gniew przeciwko własnej krwi posiada moc, która musi sparaliżować świadków.

- Niech pan mnie posłucha, sir, - kontynuował, - a przedstawię panu tę fałszywą żmiję. Obiecał mi pan; z nikim nie może pan o tym rozmawiać, czy tak? Jestem alchemikiem, sir. Odkąd ukończyłem dwudziesty trzeci rok życia, szukam wyjaśnienia tej cudownej i subtelnej tajemnicy. Tak, aby odkryć sekret Róży strzeżonej przez te okrutne kolce; by rozszyfrować cudowny szyfr Szmaragdu; aby przejrzeć okryty tajemnicą związek Czerwonego Króla z Białą Królową; zaślubić ich dusza duszy, ciału ciało, po wsze czasy, w doskonałych proporcjach ziemi i wody – taki był mój wspaniały cel, i powiem panu, jak ten cel osiągnąłem.

Natychmiast rozpoznałem, w tych pozbawionych związku słowach, gwarę nawiedzonego naukowca. Ripley, Flamel i inni dostarczyli światu swoich dzieł, z wzruszającym widowiskiem szaleństwa, które próbowali nazywać nauką.

- Dwa lata temu, - ciągnął ten biedny człowiek, a z każdym wypowiedzianym słowem stawał się coraz bardziej podekscytowany, - dwa lata temu udało mi rozwiązać wielki problem – przemienić pospolity metal w złoto. Pan pewnie nie wierzy. Nikt oprócz mnie, tej dziewczyny i Boga nie wie, jakich cierpień doświadczyłem zanim osiągnąłem swój cel. Żywność, odzież, czas i zdrowie, wszystko, co posiadam, oprócz samego pokoju, zostało poświęcone temu jednemu wielkiemu zamierzeniu. Sukces wreszcie ukoronował mój wysiłek! To, czego Nicholasowi Flamelowi nie udało się dokonać w 1382 roku, George'owi Ripley'owi na Rodos w 1460, a Aleksandrowi Sethonowi i Michaelowi Scudivogiusowi w siedemnastym stuleciu - ja dokonałem w 1856! Wyprodukowałem złoto! Powiedziałem sobie, "Zadziwię Nowy Jork bardziej niż Flamel zadziwił Paryż." On był zwykłym naśladowcą i został zdemaskowany. Ja miałem zaledwie łachman na grzbiecie: a teraz mogę być rywalem dla Medyceuszy. Produkowałem złoto dzień w dzień. Harowałem noce i dnie; bo muszę panu przyznać, że nigdy nie byłem w stanie wyprodukować więcej niż pewną określoną ilość na raz, a wszystko to w procesie prawie zupełnie innym niż te opisywane w książkach alchemicznych, które znałem. Ale nie wątpiłem, że sprawność przyjdzie wraz z praktyką i niedługo powinienem być w stanie zaćmić bogactwem najmożniejszych władców świata.

- Harowałem więc. Dzień po dniu dawałem tej dziewczynie te ilości złota, które udawało mi się wyprodukować, aby oszczędzała wszystko, co pozostanie po zaspokojeniu najpilniejszych potrzeb. Byłem zdumiony, gdy, pewnego dnia, uświadomiłem sobie, że w dalszym ciągu żyjemy tak samo nędznie. Byłem jednak przekonany, że wynika to z godnej pochwały rozwagi mojej córki. Sama utrzymywała mnie w tym przekonaniu, zapewniała mnie, że im mniej będziemy wydawać, tym szybciej zgromadzimy majątek, który zapewni nam spokojne życie; więc doceniając jej rozsądny sposób myślenia, nie wymawiałem jej skąpstwa, tylko harowałem, pomimo biedy, w milczeniu.

- Złoto, które produkowałem, jak mówiłem wcześniej, było w niewielkich ilościach, dokładnie rzecz ujmując, mała sztabka o wartości jakichś trzydziestu może trzydziestu pięciu dolarów. W ciągu dwóch lat obliczyłem, że wyprodukowałem pięćset takich sztabek, które, licząc nawet po trzydzieści dolarów za sztukę, powinny przynieść sumę

piętnastu tysięcy dolarów. Wziąwszy pod uwagę nasze niewielkie koszta z ostatnich dwóch lat, powinno pozostać około czternaście tysięcy dolarów. Uznałem, że przyszedł czas aby zrekompensować sobie wszystkie lata wyrzeczeń i otoczyć moją córkę i samego siebie taką wygodą, na jaką pozwoli zaoszczędzony majątek. Udałem się do córki i powiedziałem, że mam zamiar uszczknąć co nieco z naszych małych zapasów. Ku memu całkowitemu zdziwieniu, wybuchnęła płaczem i powiedziała mi, że nie ma ani jednego dolara – że cały nasz majątek został jej skradziony! Kompletnie oszołomiony takim nieszczęściem, na próżno starałem się wydobyć z niej, w jaki sposób nasze oszczędności zostały rozgrabione. Nie była w stanie mi tego wytłumaczyć, zalewała się tylko łzami i zanosiła bezgranicznym szlochem.

- Był to gorzki cios, doktorze, ale *nil desperandum* jest moją życiową dewizą, więc powróciłem do pracy nad swoimi tyglami ze zdwojoną energią i produkując jedną sztabkę na dwa dni. Tym razem postanowiłem osobiście ukryć sztabki w bezpiecznym miejscu; ale już pierwszego dnia, gdy ustawiłem swoje narzędzia aby kontynuować pracę, Marion – tak ma na imię moja córka – przyszła szlochając i nakłaniając mnie, abym pozwolił jej opiekować się złotem. Zdecydowanie odmówiłem, tłumacząc, że jeśli okazała się aż tak mało ostrożna, nie mogę jej więcej zaufać. Ale ona nalegała, obejmowała mnie za szyję, groziła, że mnie porzuci; mówiąc krótko, wykorzystała wiele z tych złych ale niemożliwych do odrzucenia argumentów, których używają kobiety, że wreszcie nie miałem serca odmówić jej. Powierzyłem jej więc jeszcze raz przechowywanie sztabek.

- Jednak widzi pan, - ciągnął stary alchemik, rzucając nie dające się opisać ponure spojrzenie po nędznym pomieszczeniu, - w jakich warunkach żyjemy. Nasze pożywienie jest niewystarczające i złej jakości; nigdy nie kupujemy ubrań; opłata za najem jest niewielka. I co ja powinienem myśleć o takiej zepsutej dziewczynie, córce, która wpędza mnie w taką biedę? Czy jest skąpa, pan pomyśli? A może oddaje się hazardowi? Albo – albo – trwoni pieniądze w jeszcze inny sposób, o jakim nie wiem? Och, panie doktorze! Proszę nie obwiniać mnie za to, że rzucam na nią takie przekleństwa, bo to dla mnie, ojca, okrutne cierpienie! - Biedny człowiek zamknął w tym momencie oczy i, wyczerpany położył się na łóżku.

Te osobliwe zwierzenia wywołały u mnie szereg sprzecznych emocji. Zerknąłem na Marion, która cierpliwie przysłuchiwała się okrutnym zarzutom zachłanności ale nigdy wcześniej nie widziałem bardziej niewinnego wyrazu poddania się, jaki malował się na jej twarzy. Wydawało mi się niemożliwe, żeby ktoś z tak czystym, szczerym spojrzeniem; z tym spokojnym, szerokim czołem; tymi niewinnymi ustami, mógł być bezlitosnym skąpcem albo, co gorsze, wyrachowanym oszustem, jak opisał ją stary człowiek. Wyjaśnienie samo cisnęło się do głowy: alchemik musiał być szalonym człowiekiem. Czy ktoś, kto w dzisiejszych czasach wierzy w możliwość wyprodukowania złota, może być o zdrowych zmysłach? - Jego obłęd przybrał ten dziwny, przerażający kształt. Poczułem ogromne współczucie dla tej biednej dziewczyny, której młodość najwyraźniej została poświęcona na tym ołtarzu szalonej żądzy.

- Jak pan się nazywa? - Zapytałem starego człowieka, ujmując go za trzęsącą się, rozgorączkowaną dłoń.

- William Blakelock to moje imię, - odparł. - Pochodzę ze starego Saksońskiego rodu, proszę pana, rodu, który wydał na świat prawdziwych mężczyzn i kobiety w przeszłości. Boże! Jak to się mogło stać, że taka czarna owca jak ta dziewczyna, pojawiła się w naszej rodzinie? - Spojrzenie pełne wstrętu i pogardy, które na nią rzucił sprawiło, że zatrząsłem się z gniewu.

- Czy nie jest możliwe, że mylisz się, co do swojej córki? - Zapytałem bardzo łagodnie. - Złudzenia w świecie alchemii są, albo były, bardzo powszechne...

- Co też pan mówi? - Wykrzyknął stary człowiek podskakując w swoim łóżku. - Złudzenia? Wątpi pan, że złoto może być wyprodukowane? Czy pan wie, drogi panie, że M. C. Theodore Tiffereau wyprodukował złoto w Paryżu w 1854 roku w obecności M. Levola, analityka z Cesarskiej Mennicy, a rezultaty tych eksperymentów zostały odczytane przed Akademią Nauk szesnastego października tego samego roku? Ale niech pan poczeka, będzie miał pan jeszcze lepszy dowód. Zapłacę panu jedną z moich sztabek, a pan będzie leczył mnie, aż zupełnie wrócę do sił. Przynieś mi jedną sztabkę!

Polecenie skierowane było do Marion, która wciąż klęczała w pobliżu łóżka swego ojca. Przyglądałem się jej z ciekawością, gdy usłyszała ojca zwracającego się do niej. Stała się jeszcze bardziej blada, zacisnęła kurczowo dłonie, ale nie poruszyła się ani nie odezwała słowem.

- Przynieś mi sztabkę, powiedziałem! - Powtórzył z pasją alchemik.

Spojrzała na niego błagalnie. Jej wargi zadrżały i dwie wielkie łzy potoczyły się wolno po jej bladych policzkach.

- Zrób, o co cię proszę! Występna dziewczyno! - Wykrzyknął stary człowiek wzburzonym głosem. - Albo przysięgam na wszystko co kocham w Niebie i na ziemi, że przeklnę cię po wszystkie czasy!

Przez chwilę miałem ochotę wtrącić się i stanąć w obronie dziewczyny, widziałem jak ciężką udrękę sprawiają jej słowa jej ojca, ale sam nie rozumiałem, dlaczego opierała się w wykonaniu prośby i czekałem na dalszy ciąg.

Ostatnie groźby ojca, wykrzyczane z gwałtowną pasją, zdawały się wreszcie przemówić do dziewczyny. Uniosła się nagłym podskokiem, jak gdyby ukąsił ją wąż, i pobiegła do drugiego pokoju. Powróciła po chwili z niewielkim przedmiotem, który wcisnęła mi do ręki, a potem wtuliła się w fotel w odległym kącie pokoju popłakując.

- Widzi pan – widzi pan, - powiedział z sarkazmem stary człowiek, - jak niechętnie się z tym rozstaje. - Niech pan to weźmie, sir; to dla pana.

Była to nieduża metalowa sztabka. Przyjrzałem się jej uważnie, zważyłem w dłoni – kolor, waga, wszystko wskazywało na to, że była złota.

- Może wątpi pan w szlachetność kruszcu, - ciągnął alchemik. - Na tamtym stole znajdzie pan odczynniki – proszę samemu sprawdzić.

Przyznam, że istotnie wątpiłem w autentyczność; ale gdy użyłem odczynników, wszelkie wątpliwości okazały się bezzasadne. Było to złoto najczystszej próby. Byłem oszołomiony. Czy zatem opowieść tego człowieka była prawdą? Czy rzeczywiście udało mu się wyprodukować złoto? Czy jego córka, ta śliczna, anielska istota, była faktycznie demonem chciwości albo niewolnicą najgorszych skłonności? Byłem kompletnie oszołomiony. Nigdy nie spotkałem się z czymś tak niepojętym. Patrzyłem to na ojca, to na córkę z tępym zdziwieniem. Przypuszczam, że wyraz mojej twarzy zdradzał mój stan umysłu, bo starzec powiedział: - Widzę, że jest pan zaszokowany. Cóż, to zrozumiałe. Miał pan prawo uważać mnie za szaleńca, dopóki nie przekonał się pan, że to co mówię, to prawda jak złoto, które trzyma pan w ręce..

- Ale panie Blakelock, - powiedziałem, - ja nie mogę przyjąć tego złota. Nie mam do niego prawa. Nie mogę pobrać tak wysokiej zapłaty.

- Proszę ją zatrzymać, panie doktorze, - odpowiedział z pewną niecierpliwością w głosie, - pańskie honorarium wyniesie tyle, zanim dojdę do zdrowia. A poza tym, - dodał tajemniczo, - pragnę poprosić pana o dodatkową przysługę. Chcę aby chronił mnie pan przed nią. - Wskazał swą okaleczoną, zabandażowaną dłonią na Marion.

Moje oczy powędrowały za jego skinieniem i ujrzałem uosobienie horroru, niedowierzania i desperacji. Piękna twarz dziewczyny zmieniona była nie do poznania.

"To wszystko musi być prawdą," pomyślałem, "Jej ojciec ma rację. Cóż za niewdzięczność i to ze strony własnej córki!"

Uniosłem się. Rodzinna tragedia przyprawiła mnie o ból głowy. Ta zdrada krwi przeciwko krwi była dla mnie zbyt okrutna do zniesienia. Zapisałem receptę dla starca, poleciłem zmienić przepaloną odzież i, kłaniając się na pożegnanie, pośpieszyłem w kierunku drzwi.

Gdy niepewnie schodziłem po ciemnej klatce schodowej, poczułem dłoń na moim ramieniu.

- Panie doktorze, - wyszeptał głos, który należał do Marion Blakelock, - panie doktorze, czy potrafi pan współczuć?

- Myślę, że tak, - odpowiedziałem zaskoczony, strącając z ramienia dłoń; jej dotyk napawał mnie nieprzyjemnym uczuciem.

- Ciszej! Proszę mówić ciszej. Jeśli pańska natura zna uczucie litości, proszę mi zwrócić, błagam pana, złotą sztabkę.

- Wielkie nieba! - powiedziałem. - Czy to możliwe, żeby tak piękna kobieta była taką wyrachowaną, bezwstydną oszustką?

- Ach! Pan nie rozumie! – A ja nie mogę nic powiedzieć! Ale proszę mnie pochopnie nie osądzać. Przysięgam, że nie jestem taka, za jaką mnie pan uważa. Mój ojciec się myli. Być może pewnego dnia wszystkiego się pan dowie. Ale, - dodała przerywając na chwilę, - sztabka, gdzie ona jest? Muszę ją odzyskać. To sprawa życia lub śmierci.

- A więc grozisz mi! Weź ją ode mnie, ty oszustko! - Wykrzyknąłem, wciskając sztabkę w jej dłoń, która gorliwie zacisnęła się na małym przedmiocie. - Nie miałem zamiaru jej zatrzymać. Złoto wyprodukowane pod dachem, pod którym żyje ktoś taki jak ty, musi być przeklęte!

Próbowała mnie zatrzymać, ale ja nie potrzebowałem słuchać niczego więcej, zbiegłem ze schodów i pośpieszyłem do domu.

Następnego ranka, gdy byłem w swoim gabinecie paląc moje poranne cygaro rozmyślając o niecodziennej naturze nocnych doświadczeń, otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Marion Blakelock. Jej twarz zdradzała ten sam nastrój przerażenia i desperacji, który zauważyłem minionej nocy. Dyszała, jakby biegła tu bardzo szybko.

- Ojciec wstał z łózka, - wysapała, - nalega, żeby kontynuować swoją pracę w laboratorium. Czy to nie nazbyt niebezpieczne?

- Niekoniecznie, - odparłem chłodno. - Byłoby lepiej, gdyby pozostał w łóżku, tak żeby uniknąć stanu zapalnego. Jednak nie musi się pani martwić; jego poparzenia nie są aż tak groźne, jedynie bolesne.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - Wykrzyknęła patrząc na mnie nieobecnym wzrokiem i zanim uświadomiłem sobie co robi, chwyciła moją dłoń i pocałowała.

- Proszę przestać, - wykrzyknąłem wyrywając rękę z jej dłoni; - pani nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań! Proszę lepiej wrócić do swojego ojca!

- Nie mogę tak po prostu tego zostawić, - odparła. - Pan mną gardzi, czy tak?

Nie odpowiedziałem.

- Uważa mnie pan za potwora, przestępcę, który żeruje na własnym ojcu. Gdy odchodził pan wczoraj do domu, myślał pan sobie jak taka młoda kobieta może być tak niegodziwa.

- Wprawia mnie pani w zakłopotanie, to pewne, - powiedziałem najbardziej chłodnym tonem. - Proszę nie zmuszać mnie...

- Niech pan poczeka. Nie mogę tego znieść, nie ma pan prawa myśleć o mnie źle. Jest pan dobrym i przyjaznym człowiekiem, potraktował pan mojego ojca z wyrozumiałością. Chcę, żeby pan poznał prawdę i zmienił o mnie zdanie. Pan nie wie, jak bardzo kocham mojego ojca.

Próbowałem powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie wierzy pan? A więc przekonam pana. Całą ostatnią noc biłam się z myślami, ale wreszcie podjęłam decyzję. To zakłamane życie nie może trwać dłużej. Czy wysłucha pan mojej historii?

Zgodziłem się. Przekonująca nuta w jej głosie i szczerość jej oblicza, po raz kolejny oczarowały mnie. Znowu zacząłem wierzyć w jej niewinność i potrzebowałem wysłuchać jej wersji.

- Mój ojciec opowiedział panu tylko część całej historii. Nie powiedział panu, że ciągłe niepowodzenia w wyprodukowaniu złota, omal go nie zabiły. Dwa lata temu był na krawędzi grobu, pracował zapamiętale w swoim laboratorium, z dnia na dzień stawał się coraz słabszy i coraz bardziej wycieńczony. Wiedziałam, że jeśli nie będzie miał odpoczynku, umrze z wycieńczenia. Nie mogłam na to pozwolić, bo kocham mojego ojca - kocham, jak tylko córka może kochać własnego ojca. W ciągu tych lat biedy, to ja utrzymywałam dom, szyjąc; to była ciężka praca, ale udało mi się uratować ojca przed najgorszym – wciąż zarabiam w ten sam sposób i utrzymuję dom. Nie hazard! Nie przestępstwa!

- Co takiego? - Wykrzyknąłem zaskoczony, - ale złoto...

- Cierpliwości. Proszę pozwolić mi dokończyć. Mój ojciec umierał z rozczarowania. Z utraty wiary. Widział, jak zmarnował swoje życie. Musiałam coś zrobić, aby go ocalić. Z niewiarygodnym mozołem, pracując dniami i nocami, zaoszczędziłam trzydzieści pięć dolarów. Za te pieniądze kupiłam złoto, sztabkę, którą miał pan w ręce. Pewnego dnia, gdy mój ojciec nie widział, wrzuciłam ją do tygla, w którym próbował bezskutecznie dokonać swego dzieła. Wierzę, że Bóg wybaczy mi to oszustwo. Nie mogłam przewidzieć do jakiego nieszczęścia to doprowadzi.

- Nie oczekiwałam niczego poza radością mojego ojca, gdy opróżniając tygiel znalazł złotą sztabkę na jego dnie. Płakał z radości i tańczył, śpiewał i roztaczał tak niewiarygodne perspektywy, że trudno mi było tego słuchać. Oddał mi sztabkę na przechowanie i powrócił do pracy w laboratorium ze zdwojoną energią. Wszystko powtórzyło się jeszcze raz. Codziennie znajdował w swoim tyglu tę samą sztabkę, myśląc, że produkuje złoto. Tylko ja znałam tajemnicę. Był szczęśliwy, biedny człowiek, przez niemal dwa lata, wierząc, że gromadzi fortunę. A ja przez cały ten czas zarabiałam na utrzymanie igłą. Gdy poprosił mnie abym przyniosła mu oszczędności, grom uderzył we mnie. Właśnie wtedy zrozumiałam, jaki popełniłam błąd. Przecież nie mogłam mu dać żadnych pieniędzy. Nigdy żadnych nie miałam – podczas gdy on wierzył, że mam czternaście tysięcy dolarów. Omal się nie załamałam, gdy zrozumiałam, jakich strasznych podejrzeń nabrał. Ale przecież nie mogłam go oskarżać. Nie potrafiłam wytłumaczyć mu, dlaczego nie mam tych pieniędzy, których on się domagał. Muszę odpokutować za mój grzech, bo wyjawienie mu prawdy, z pewnością zabije go.

Słuchałem niemy i zdruzgotany.

- Resztę pan zna. Teraz pan wie, dlaczego tak niechętnie przyniosłam panu tę sztabkę – i dlaczego poniżyłam się tak, żeby ją odzyskać. Jedynym moim zamiarem było trwać dalej w moim oszustwie, od którego, obawiam się, zależy życie mojego ojca. Ale teraz ta iluzja musi się skończyć! Nie mogę dalej żyć w tym zakłamaniu. Nie mogę żyć i słuchać ojca, tak bliskiego mojemu sercu, który przeklina mnie codziennie nazywając niewdzięcznicą. Postanowiłam wyjawić sekret jeszcze dzisiaj. Czy zechce mi pan towarzyszyć? Obawiam się, że może potrzebować pańskiej pomocy, gdy pozna prawdę?

- Oczywiście, - odparłem, bo cóż innego mogłem zrobić. Ująłem ją za drżącą rękę z zupełnie innymi emocjami niż pięć minut wcześniej. - Ale najpierw, - powiedziałem,

- pozwól Marion, że poproszę cię o wybaczenie, masz szlachetne serce, a ja zraniłem cię przez swoją niewiedzę.

- Wiedziałam, że oceni mnie pan sprawiedliwie, gdy pozna prawdę, - zaszlochała ściskając moją dłoń, - Oczywiście, wybaczam panu, ale teraz chodźmy już, najgorsze przede mną. Pośpieszymy do mojego ojca i powiemy mu prawdę.

Gdy dotarliśmy do pokoju starego alchemika, zastaliśmy go zaabsorbowanego zawartością tygla umieszczonego na małym palniku, w którym buzowała jakaś bliżej nieokreślona mikstura. Gdy weszliśmy, podniósł na nas swój obłędny wzrok.

- Niech się pan o mnie nie martwi, panie doktorze, - powiedział z upiornym uśmiechem, - bez obaw, nie mogę pozwolić, żeby drobne, fizyczne niedomaganie przerwało moje wielkie dzieło, na pewno pan to rozumie. Tak przy okazji, przychodzi pan w najlepszej chwili! Za kilka minut małżeństwo Czerwonego Króla i Białej Królowej zostanie zawarte! Użyję określenia George'a Ripleya na ten wspaniały akt, który opisuje w swojej książce "Dwanaście wrót". Tak, panie doktorze, za niecałe dziesięć minut ujrzy pan, jak produkuję czyste, błyszczące złoto!

Biedny, stary człowiek uśmiechnął się triumfalnie i zamieszał swą bezwartościową miksturę długim patykiem, który ledwo trzymał w zabandażowanych dłoniach. Był to żałosny widok dla każdego, kto posiada jakiekolwiek ludzkie uczucia.

- Ojcze, - powiedziała Marion niskim, niepewnym głosem, podchodząc kilka kroków w kierunku nieszczęśnika, - ojcze, proszę cię o wybaczenie.

- Ach, hipokrytka! Wybaczenie czego? Czy masz zamiar zwrócić mi moje złoto?

- Nie, ojcze, za oszustwo, którego się dopuszczałam przez te wszystkie lata.

- Wiedziałem! Wiedziałem! - Wykrzyknął stary człowiek z rozpłomienioną miną. - Ukrywała moje czternaście tysięcy dolarów przez cały ten czas, a teraz przychodzi by mi je zwrócić. Wybaczę jej! Przynieś pieniądze tutaj, Marion.

- Ojcze – musisz poznać prawdę. Nie ma żadnych pieniędzy, bo nigdy nie wyprodukowałeś żadnego złota. To ja zaoszczędziłam trzydzieści pięć dolarów i kupiłam sztabkę. Podkładałam ją do twojego tygla każdego wieczoru, gdy nie widziałeś – i robiłam to bo wiedziałam, że umierasz z rozczarowania. To nie było uczciwe, wiem – ale, ojcze, wybacz mi bo chciałam jak najlepiej. Wybaczysz mi, prawda? - Nieszczęsna dziewczyna zbliżyła się o krok w stronę ojca.

Starzec zrobił się trupio blady, zachwiał się, jakby miał za chwilę upaść. W następnej chwili jednak odzyskał równowagę i wybuchnął przerażającym, szyderczym śmiechem. Potem, patrząc na Marion i na mnie, powiedział tonem najbardziej gorzkiej ironii:

- To jakiś spisek? Dobra robota, doktorze! Myśli pan, że razem z tą zepsutą dziewczyną ugłaskacie mnie wmawiając, że przez wszystkie te lata wierzyłem jak głupiec w litość tej zakłamanej żmii?. O, nie! Mało sprytne, panie doktorze. Kompletne fiasko. Niech pan więcej nie próbuje!

- Ale mogę pana zapewnić, panie Blakelock, - odparłem siląc się na jak najbardziej przekonujący ton, - wszystko to, co powiedziała pańska córka jest szczerą prawdą. Może się pan o tym przekonać, ponieważ dziewczyna ma sztabkę, którą, wierzył pan, że wyprodukował własnoręcznie. Proszę sprawdzić, w pańskim tyglu nie doszło do żadnej transmutacji!

- No właśnie, doktorze, - powiedział stary człowiek tonem człowieka pewnego siebie, - pan jest głupcem, a nie ja. Dziewczyna zawróciła panu w głowie! Za niecałą minutę pokażę panu kawałek złota czystszy niż kiedykolwiek zrodziła ziemia. Czy to przekona pana?

- To mnie przekona, - powiedziałem nie oczekując żadnego cudu.

Gestem nakazałem milczenie Marion, która chciała coś powiedzieć. Uznałem, że

będzie lepiej jeśli starzec sam odkryje swoją pomyłkę - czekaliśmy na nieuchronną kulminację szaleństwa.

Starzec, wciąż uśmiechając się pewny swojego triumfu, krzątał się gorliwie obok swojego tygla, mieszał miksturę patykiem i cały czas mruczał do siebie pod nosem. - Teraz, - usłyszałem nagle jego słowa, - zamienia się! Na wierzchu zebrał się kożuch. A teraz zieleń i brąz przebłyskują przez tę zawiesinę. Och, piękna zieleń! Zapowiedź złotego odcienia, który wskazuje na zakończenie przemiany! Ach! Teraz pojawia się złocista barwa – powoli – powoli! Nabiera głębi, lśni, oślepia! Ach, mam je! - to mówiąc chwycił tygiel obcęgami i przeniósł go powoli nad stół, na którym znajdowało się blaszane naczynie.

- Teraz, doktorze niedowiarku! - Wykrzyknął, - podejdź i przekonaj się, - i natychmiast zaczął ostrożnie przelewać zawartość tygla do blaszanego naczynia. Gdy tygiel był niemal pusty obrócił go w górę i machnął na mnie obandażowaną ręką. - Podejdź doktorze, podejdź i przekonaj się. Zobacz to na własne oczy.

- Niech pan spojrzy pierwszy, panie Blakelock, czy w tyglu znajduje się jakieś złoto? - Odpowiedziałem nie ruszając się z miejsca.

Zaśmiał się obłędnie, potrząsnął szyderczo głową i zajrzał do tygla. Po chwili pobladł.

- Nic! - Wykrzyknął. - Och, kpiny, kpiny! Gdzieś tu musi być złoto. Marion!

Zaczął kręcić się po pokoju z niedowierzaniem. Zdrowe resztki umysłu zaczynały przemawiać do jego świadomości. Starzec zdawał się tracić kontakt z otoczeniem.

- Złoto jest tutaj, ojcze, - odpowiedziała Marion, wyciągając złotą sztabkę z kieszeni, - to wszystko, co kiedykolwiek mieliśmy.

- Ach! - wrzasnął alchemik upuszczając pusty tygiel. Przez chwilę wpatrywał się w złotą sztabkę, którą Marion trzymała w wyciągniętej ręce. Zrobił trzy kroki gdy nagle zatoczył się i upadł na podłogę. Marion pośpieszyła do niego próbując go unieść, ale nie była w stanie.

Odsunąłem ją łagodnie na bok i przyłożyłem dłoń do jego serca. Starzec był martwy.

- Marion, - powiedziałem cichym, uspokajającym głosem, - być może lepiej, że tak się stało.